

WALKI O SWOBODĘ DZIAŁANIA

9 – 20 WRZEŚNIA 1939 R.

Kampania wrześniowa w oświeceniu niemieckim



WARSZAWA, LISTOPAD 1941 R.

br. 33756



br. 33456

W2-427/2017

PRZEDMOWA.

Gdy minął pamiętny wrzesień 1939 r. i wroga nawała przewalała się przez Polskę, zniknęło z życia naszego wszystko, co było chorem lub niedorostłym do chwili dziejowej, ujawniła się w pełni nasza tężyzna narodowa. Choć zwyciężeni w kampanji wrześniowej nie ulegliśmy i prowadzimy wojnę dalej. Armja nasza to nie paręset tysięcy żołnierzy, to każdy mężczyzna i kobieta. Armja nasza wzrosła do dwudziestu kilku milionów. Hasłem naszym w i e r z y ć, u c z y ć s i ę i w a l c z y ć, b o n i e m a t a k i e j k l ę s k i, k t ó r a b y n i e b y ł a n a u k ą z w y c i ę s t w a.

Gdy minął pamiętny wrzesień 1939 przy błyskawicznym rozwoju wydarzeń, nie każdy mógł być świadkiem zachowania się polskich żołnierzy. Wielu zasnuły oczy obrazy ewakuacji, odwrotu, załamywania się Naczelnego Dowództwa i aparatu państwowego. W sercach polskich powstawał żal do własnych żołnierzy, tętniło pytanie: czy spełniliście obowiązek? — Nastroj ten rozumiał wróg, rozpoczynając w przelicznych wydawnictwach drugą kampanję — kampanję oszczerstw, która miała odebrać żołnierzom polskim honor. Tę kampanję wróg przegrał. Gdy przyszło złożyć sprawozdanie o polskich bitwach prostym żołnierzom niemieckim, dowódcom plutonów, kompanji, a nie bohaterom tyłów, prawda zdobyła swe prawa. Myśmy milczeli, bo głos zabierzemy po zwycięstwie, tymczasem niech Wam o nas opowiada wróg.

Czytajcie, Polacy, te karty. Wspomnienie rozpościera przed Wazymi oczyma niebo w dymach i łunach, a z niego spadają płonące niemieckie, strącone przez nas, samoloty. Ziemia drży od huku armat, przemarszu czołgów, eksplozji min, a na polach płoną niemieckie rozbite przez nasze czołgi, w powietrze wylatują niemieckie kolumny, niemiecki trup zaściela pola. Drogo kosztowały Niemców sukcesy na polskiej ziemi.

Tak było tam, gdzie naszemu żołnierzowi, słabszemu liczebnie i technicznie, dano jakie takie warunki walki, tak było nawet tam, gdzie tych warunków nie było, gdzie szturmowano z bagnietem w ręk-

ku czołgi, tak było i tam, gdzie zabrakło żołnierza i walczyła ludność.

Setki przykładów polskiego męstwa notują sprawozdania wroga. Wybraliśmy drobną część z ciągle mnożących się wydawnictw. Wybraliśmy je pod hasłem, abyście znaleźli się na polach bitew wszystkich połaci Polski, byście mogli towarzyszyć polskim pułkom w dnie i nocie tej kampanji.

W pierwszym zeszytce dajemy Wam przykłady z obrony granic, z 8-dniowej nieustannej bitwy na froncie 2.000 km., od Suwalszczyzny poprzez Pomorze, Śląsk po środkowe Karpaty. To dnie od 1 do 9 września.

Część druga to przykłady z walk o swobodę ruchów naszych armij. Jeszcze bitwa granic trwała, a fatalnie rozstawione przez b. naczelnego wodza długimi linjami bez rezerw nasze armje zostały otoczone nieprzyjacielską przewagą. W 12-dniowych bojach nieraz z powodzeniem rozrywały pierścień nieprzyjacielski, lub oddawały wolność tylko z życiem. To dnie od 9 do 20 września.

Część trzecia to przykłady walk w imię honoru. Widząc beznadziejność położenia, od chwili gdy dał się odczuć napad rosyjski, Stolica, Modlin, twierdze nadmorskie i ostatnie oddziały połowe walczą dalej. Walczą do momentu ukonstytuowania się Rządu Narodowego i utworzenia Wojska Polskiego na obczyźnie. Walczą od 20 września przez szereg dni października.

Dzięki im nie było takiej dotąd chwili, żeby Niemiec nie miał przed sobą polskiego żołnierza.

O tym wszystkim opowie Wam wróg. Czytajcie, Polacy, te zeszyty. Niech trafiają do rąk uczestników walk, bo im je poświęcam, a wśród nich moim najbliższym, których widziałem jak rozbijaliście czołgi, przynosiliście zdobyte karabiny maszynowe, pędziliście jeńców niemieckich, tym, z którymi wspólnie broniliśmy powierzonej nam cytadeli i przebiliśmy się przez pierścień niemiecki.

Wielu z Was śni w tej chwili już swój wieczny sen o Polsce i spełnionym obowiązku. Wam słów uznania nie trzeba, bo niema tak skromnej żołnierskiej mogiły, na której by nie zakwitał sławy kwiat, której by nie okryły kwiaty nieśmiertelności idei, za którą wojownik oddał swe życie.

Tą swą postawą żołnierz polski, żywy czy poległy stworzył wytyczne zwycięstwa.

Przede wszystkim bić się, jak nie na ziemi wroga, to na własnej, jak nie na własnej, to na sprzymierzonej, ale bić się i jeszcze raz bić się, a będziemy ich mieć!

OBRONA OKSYWIA I ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA DĄBKA.

„Dichter auf den Schlachtfeldern in Polen” — Str. 8—11 i 66—68.

Nacierając na Gdynię niemiecką dywizja obrony krajowej, wzmocniona brygadą gdańskiej samoobrony, spotkała przeciwnika, który bił się dzielnie i przechodził do przeciwnatarć.

Przykład polskiej wytrwałości to placówka z karabinem maszynowym, zagnieżdżona na małym wzgórku na przedpołu Kępy Oksywskiej od strony zachodniej. Przez 36 godzin bez przerwy uniemożliwiała ona ogniem flankowym wyjście wojsk niemieckich z lasów.

Przykładem ducha zaczepnego jest silne uderzenie na prawe skrzydło dywizji w chwili zbliżania się do Gdyni, połączone z zaatakowaniem taborów na tyłach.

Niemiecki oficer sztabu generalnego składa następującą relację o obrońcach Oksywia:

Polski żołnierz bił się dobrze i nie skąpił życia. Terenu walki o Gdynię i Gdańsk broniła elita polskich sił zbrojnych. Były to młode, pełne zapału oddziały marynarki i wojska lądowego, które były się w sposób godny uznania. Na płaskowzgórzu Kępy Oksywskiej znajdowały się rowy strzeleckie, w których polegli polscy żołnierze z bronią niezdatną już do użytku, leżeli setkami obok siebie. Widać z tego, że bronili się do ostatka. Przynosi to honor zwycięzcy, jeśli nie przemilczy chwały zwyciężonego w najdzielniejszym boju.

Należy przekazać potomnym pełną godności żołnierską śmierć dowódcy wojska lądowego na Oksywiu pułkownika Dąbka. Los polskich wojsk na Oksywiu dopełnił się, gdy w ostatniej reducie, zajętej przez zepchniętych Polaków, w Wąwozie Czarownic, niemieckie granaty spowodowały eksplozję olbrzymiego składu amunicji; pojawił się wtedy polski parlamentarzysta i pertraktował z oficerem sztabu generalnego z dowództwa niemieckiej dywizji, co do poddania się. Niemiecki oficer, trzymając zegarek w ręku, rzekł do Polaka: „niema żadnych warunków, z wyjątkiem jednego: bezwarunkowe poddanie się w ciągu 5 minut”.

Polak wrócił do swoich. Po 5 minutach ukazała się biała chorągwa. Kiedy Niemcy wkroczyli do Wawozu Czarownic, znaleźli polskiego dowódcę w mundurze ze wszystkimi orderami — nieżyjącego. Zastrzelił się on przed frontem swych oddziałów w chwili, gdy ujrzał beznadziejność położenia. Pochowano go na miejscu z przynależnymi mu honorami wojskowymi. W rozpaczliwej walce, bez nadziei na powodzenie, osiągnął to, co mógł osiągnąć najwyższego, to co żołnierzo- wi w takich okolicznościach pozostaje — cześć i uznanie przeciwnika.

Pułkownik Dąbek postąpił tak, jak postępuje prawy dowódca fortecy w myśl niepisanych regulaminów, wspólnych dla wszystkich wojsk świata: nie mogąc obronić fortecy, ani przebić się ze swym oddziałem do armji polowej — zginął wraz z twierdzą, tak jak kapitanowie marynarki giną wraz ze swym okrętem.

OBRONA BLOKHAUZÓW POD NOWOGRODEM NAD NARWIĄ.

Hadamowsky. — „Blitzmarsch nach Warschau“. — Str. 175—179.

Tuż po zajęciu Pułtuska i Rożanu przystąpiły niemieckie siły zbrojne powietrzne i lądowe do wspólnej akcji na bardziej północnym odcinku Narwi. Ciężkie bombowce i nurkowce spędziły nieprzyjaciela z otwartych stanowisk przedmościa Nowogród nad Narwią. obrońcy polscy wycofali się i usadowili częściowo w domach Nowogrodu, a częściowo w blokhauzach za Narwią.

Gdy wojska wschodnio-pruskie osiągnęły północny brzeg Narwi, ujrzały na wznoszącym się stromo brzegu południowym polskie blokhauzy. By przeprowadzić szturm musieli niemieccy piechurzy zbiegać z północnego brzegu rzeki na poziom wody, przeprować się gumowymi łodziami przez Narew, szturmować piaszczyste wzniesienia południowego brzegu, a potem załatać się z blokhauzami.

Walka była ciężka i zacięta. Pozycja ta, decydująca dla oskrzydlenia Warszawy, trzymała się dłużej i silniej niż linje blokhauzów pod Mławą. Ciężkie baterje artylerji przeciwlotniczej zajęchały do pierwszej linji niemieckiej i rozpoczęły ogień, strzelając w pancerne kopułki umocnień nieprzyjacielskich.

Tylko jeden metr wynosiła średnica kopułki, a pół metra jej wysokość. Ten miniaturowy obiekt brano za cel. Jeden granat siedział na szerokość palca od drugiego, aż jeden z nich przebił kopułę i rozrywał wewnątrz obrońców. Wówczas rozpoczynała się krwawa praca piechoty, która z pogardą śmierci przeprowadzała się przez rzekę.

Polskie załogi blokhauzów strzelały flankująco z kopulek, które jeszcze zostały. Gdy pułk przeprowił się, otrzymał tak silny ogień, że wielokrotnie i z dużymi stratami musiał się cofać.

Każdy polski blokhauz dowodzony był przez oficera. Załoga wy-

nosiła 3 do 6 ludzi. Uzbrojenie składało się z karabinów maszynowych i gdzie niegdzie szybkostrzelnych armatek. W miejscu przeprawy niemieckiej załoga opuściła blokhauz, ale dalej na wschód w następnym blokhauzie załoga broniła się z zaciętą wściekłością. Blokhauz ten, wbudowany w starą groblę mostową, musiał być unieszkodliwiony flankującym ogniem dział przeciwlotniczych w strzelnicie boczne. Granat rozbił jego kopułę pancerną i rozszarpał część załogi, ale pozostali przy życiu bronili się dalej i nie można było granatami zmusić ich do milczenia. Granat po granacie wybuchał na ścianie betonowej, nie mogąc jej przebić, aż wreszcie pionierzy i piechota wspólnie wysadzili żelazne drzwi pancerne. Obrońcy jednak padli dopiero po walce wręcz i znaleźli obok blokhauzów skromny żołnierski grób, znaczony drewnianym krzyżem i polskim hełmem.

Trzeci blokhauz, dalej na wschód położony bronił się tak długo i zacięcie, aż granat szybkostrzelnej armaty trafił w strzelnicę. Niemiecki granat rozbił działo, przebił strzelnicę i eksplodował wewnątrz blokhauzu ze straszliwą siłą. Żelazne drzwi pancerne, prowadzące do sąsiedniego przedziału, wyrwane z zawiasów i pogięte, zostały rzucone do sypialni załogi. W blokhauzie zapaliła się słoma, ogień rozszerzył się gwałtownie. Gdy weszliśmy, dzielny obrońca leżał w poprzek drzwi pancernych, jako czarna, zwęglona bryła.

POLSKI STRZELEC ZATRZYMUJE NIEMIECKI PLUTON PO ŁOMŻA.

Sedlatzek — „Gewitter über Polen” — Str. 191—197.

Po krótkim spoczynku posuwa się kompanja na Łomżę. Już od kilku dni inne oddziały uwikłane są w walce pod Łomżą. Teraz nacierają kompanja od zachodu, ale już na daleką odległość otrzymujemy silny ogień artylerji.

Dowódca plutonu kapral Jochen, rozsypuje swych ludzi w tyraljerę na prawo i lewo od drogi. Pluton ciągle napotyka na pojedyncze gniazda strzeleckie, w których pięciu do sześciu polskich strzelców tkwi na straconych posterunkach. Ich obrona jest uporczywa i tylko powoli można się posuwać na Łomżę.

Na małym wzgórkuszku strzela bez przerwy jeden Polak do pochodzących zdaleka rzadkich grup niemieckiej piechoty. Ciężko jest podejść do tego człowieka, ponieważ stoi, dobrze chroniony, w głębokim wręku strzeleckim. Jochen postanawia go zaskoczyć.

„Frowein, idź ze swoją drużyną z drugiej strony szosy przydrożnym rowem do przodu. Ja spróbuję dostać się na wzgórze poza strzelcem. Musicie go ciągle ostrzeliwać, aby był zajęty, tymczasem popatrzę, czy nie uda mi się go wykurzyć”.

Zgięta wół przekrada się drużyna Froweina pod osłoną rowu przy-

drożnego. Ten chłop we wnętrzu strzeleckim strzela djabelnie dobrze, widocznie jest zaciętym przeciwnikiem.

Tylko z jednym żołnierzem obchodzi Jochen pagórek, skrada się przezornie pod osłoną paru krzaków. Ponad jego głową przelatują pociski kolegów z rowu przydrożnego. Polak bezustanku strzela ze swego wnętrza.

Teraz czołga się Jochen dalej do przodu z karabinem w rękę i granatem ręcznym, przygotowanym do rzutu. Jeszcze kilka metrów trzeba przebyć i nareszcie — właśnie Jochen wydostał się na grzbiet małego wzgórza — widzi wyraźnie Polaka strzelającego. Wnęki strzeleckie na prawo i lewo od strzelającego żołnierza są opuszczone. Mimo to ten osamotniony człowiek strzela uparcie ze swego karabinu. Jochen myśli: „A więc coś takiego jeszcze się spotyka”... i odczuwa dla samotnego żołnierza, który na straconym posterunku sam jeden zamyka szosę i wysyła swe dobrze wycelowane strzały, coś w rodzaju podziwu. Ale niema rady, natarcie musi być kontynuowane, a ten człowiek z pewnością nikomu nie pozwoli zbliżyć się do siebie. Jochen bierze granat ręczny w prawą dłoń, zrywa sznur od zapalnika i rzuca granat w polski węnek strzelecki.

Polak widzi nagle nadlatujący szczyt przedmiot. Jochen spostrzega strach w obliczu tego człowieka, ale już zdążył się złożyć z karabinu. Jednym skokiem wyrzuca się Polak ze swego wnętrza i chce właśnie zniknąć poza nasypem z piasku, lecz wtedy Jochen posyła mu starannie wycelowany strzał i Polak pada bez ruchu.

Sekundę trwa cisza dookoła, Jochen zdążył zarepetować karabin zanim granat ręczny eksplodował we wnętrzu strzeleckim i spowodował wybuch leżący w nim amunicji. Kilka minut trzasków i huków, potem jeszcze jeden huk — minęło — Jochen pochodzi do Polaka, który pochylony ku przodowi leży na piersiach. W jego skroni tkwi mała okrągła dziura, od której ciągnie się delikatny czerwony strumyczek jasnej krwi do kąta ust. Jochen podnosi, salutując, dłoń do hełmu i uderza w obsacy. Ten Polak był walecznym przeciwnikiem.

Coraz cięższe staje się natarcie na Łomżę. Artylerja polska strzela ile tylko lufy wytrzymują.

Gdy ukazał się niemiecki samochód pancerny Jochen wie, że pionierom udało się zbudować most przez Narew. Teraz w krótkim czasie nadejdą przeważające siły niemieckie i zajęcie Łomży nastąpi w najkrótszym czasie.

Nagle szczekanie działka przeciwpancernego. Granaty zmiatają korony krzewów przydrożnych. Gałęzie opadają i samochód pancerny ucieka ku tyłowi.

Już można rozpoznać domy Łomży. Już widać tu i tam obłoki wybuchów niemieckich granatów. Terkot polskich karabinów maszynowych i grzmot dział trwa z niemniejszą gwałtownością.

Szum w powietrzu. Na wielkiej wysokości, wyraźnie widoczne na błękitie nieba, lecą niemieckie eskadry bombowe. Jeszcze zanim zna-

laży się nad Łomżą odrywają się od samolotów małe czarne punkty, spadają wdół coraz prędzej, połyskują odrobinę w jasnym błysku słonecznym późnego popołudnia, a potem zmieniają się w wielkie obłoki eksplozji nad miastem. Coraz nowe bomby spadają na umocnienia i na ulice. Na rynku Łomży musiała znajdować się polska bateria, ponieważ można rozróżnić wyraźnie ognie wylotowe dział. Teraz pożyźna eksplozja wyrzuca belki i kamienie wysoko w powietrze. Polska bateria milknie.

Mimo wszystko Łomża broniła się jeszcze całą noc, mimo, że już od wielu dni była bombardowana przez lotników, a od kilku dni broniła się również przed natarciem naziemnym. Dopiero przed południem 11 września wkroczyli Niemcy do Łomży. Zastali olbrzymie leje od bomb w ulicach, całe ściany domów zawalone, a na rynku lej tak wielki, że mały domek wygodnie by się w nim zmieścił. Otaczające domy, przebite aż do piwnic zamieniły się w kupę gruzów. Taką była obrona Łomży.

PORAŻKA 309 PUŁKU PIECHOTY DNIA 12 I 13 WRZEŚNIA POD SZCZYTNEM.

Hoffmann. — „I. R. 309 marschiet an den Feind“. — Str. 92—113.

11 września podsunęły się wojska niemieckie, maszerujące na osi Inowrocław — Kutno, do ciałniny międzyjeziornej pod Szczytne odrzucają polskie czaty. 12 września dywizja niemiecka przystąpiła do natarcia na tę ciałninę trzema conajmniej bataljonami w pierwszej linii. 309 pułk piechoty, tworzył dwoma bataljonami centrum i prawe skrzydło natarcia. Lewe skrzydło składało się z oddziałów innego pułku. III bataljon 309 pułku piechoty osłaniał prawe skrzydło oddziałów nacierających. Już o godzinie 6,30 rano rozpoczął natarcie prawoskrzydłowy II bataljon 309 pułku piech., wpadając odrazu pod silny ogień piechoty i artylerji polskiej. O godzinie 10,30 zaangażował się w centrum I bataljon 309 pułku piechoty.

8 dział artylerji pułkowej wspierało natarcie niemieckie od godziny 10-tej.

Polacy walczyli wytrwale i zacięcie. Artylerja polska zaczęła zadawać Niemcom straty już od momentu wyruszenia z podstawy wyjściowej, szczególnie w centrum i na lewym skrzydle natarcia. W rezultacie natarcia niemieckie, rozpoczęte po godzinie 12, utknęło w ciągu kilkunastu minut, a Polacy przeciwuderzeniem na bagnety zepchnęli centrum i lewe skrzydło niemieckie, zdobywając karabiny maszynowe i jedno dział artylerji pułkowej. Ogień artylerji polskiej kierowany był przez lotnika, czemu Niemcy przypisują swe straty.

Utraciwszy podstawę wyjściową, Niemcy nie próbowali już ponownego natarcia, mimo że ogień trwał od godziny 18-tej. Dopiero nazajutrz, dnia 13 września po południu, przekonani o wycofaniu się Polaków, posunęli się naprzód na stanowiska polskie i odpoczywali na nich po krwawych stratach, niepokojeni przez liczne miny, rozsiane przez cofające się oddziały polskie. Dzielnym opór polski wstrzymał marsz dywizji przez 2 dni.

Oto obrazek z tego boju:

4 kompanja I bataljonu zajmuje podstawę wyjściową. Dostaje się w ogień flankowy; są już pierwsi ranni. Dowódca kompanji prowadzi nas między błotami i polami. Tuż przy nas w odległości około 3 metrów wybuchają w błocie granaty. Dochodzimy do drogi w pobliżu pomnika. Mamy dalsze straty. Dowódca IV plutonu zostaje ranny w chwili zajmowania pozycji do walki ogniowej. Plutony naszej kompanji dostają się w ogień krzyżowy; znowu ranni, w tej liczbie dowódca plutonu ciężkich karabinów maszynowych. Cofamy się rowem do pomnika, lecz już wybuchają w rowie granaty polskiej artylerji. Wyraźnie widzimy grupki idących na bagnety Polaków. Mimo gwałtownego ostrzeliwania się nasze karabiny maszynowe zostają zniszczone ogniem polskiej artylerji. Obsługi ich mają zabitych lub rannych. Ręczne karabiny maszynowe zacinają się. Dostajemy rozkaz odwrotu. Droga jest gwałtownie ostrzeliwana. Meldujemy dowódcy bataljonu: z kompanji (liczącej 170 ludzi) zostało zaledwie 40 ludzi zdatnych do walki. Dostajemy rozkaz — utrzymać pozycję za wszelką cenę. — Mimo to cofamy się dalej. Mamy zaledwie jeden ręczny karabin maszynowy zdalny do użytku. Brakuje nam amunicji. Między nami, a sąsiednim bataljonem utworzyła się luka 400 metrów, zaledwie dozorowana przez patrol. Oczekujemy każdej chwili w ciągu całej nocy dalszego natarcia polskiego.

Artylerja niemieckiej piechoty, wykryta przez polski samolot rozpoznawczy, musi pod ogniem polskiej artylerji zmieniać stanowiska; II pluton armat, wspierający centrum, musi się cofać, zostawiając jedno działo w rękach Polaków. Dowództwo pułku, punkt opatrunkowy oraz tabor pułkowy dostają się w ogień polskiej artylerji, ponosząc ciężkie straty. Na nowym stanowisku, zajętem bardziej w tyle, niepokojone są przez polskiego lotnika.

Tak wyglądała ciężka dla Niemców walka z poznańską piechotą pod Szczytnem.

ODDZIAŁY POLSKIE PRZEBIJAJĄ SIĘ PRZEZ NIEMIECKĄ DYWIZJĘ PANCERNĄ NA WSCHÓD OD MINSKA MAZOWIECKIEGO.

Kürsten. — „Panzer greifen an”. — Str. 98—108.

Prawoskrzydłowy korpus armji wschodniopruskiej, wzmoc-

niony dywizją pancerną, po przełamaniu linii polskich nad Mławą, został skierowany na Rożan, a po sforsowaniu Narwi pod Rożanem, — na Kałuszyn, celem odcięcia odwrotu na wschód wojskom polskim z rejonu Warszawy i Modlina.

Dywizja pancerna wyprzedziła znacznie korpus i zamknęła drogi, prowadzące z Mińska Mazowieckiego na wschód. Zajawszy linię zaparową, znalazła się ona w trudnym położeniu. Napróżno żołnierze pytali, gdzie jest właściwie front. Ze wszystkich kierunków padały bowiem strzały. Polacy z męstwem rozpacz pchali się na wschód, by znaleźć oparcie w lasach i błotach. W nocy macali po osiach marszu małymi oddziałami, za którymi posuwały się większe siły. Niemcy nie ustępowali, ale dlatego też ponieśli niemałe straty. Niejednokrotnie siedzieli już Polacy dosłownie na czołgach. Ciemność i znajomość terenu były ich sprzymierzeńcami. Jak koty podkradali się i próbowali podpalać czołgi. Ale Niemcy mieli się na baczności.

Połączenia do tyłu czołgi niemieckie nie miały. Piechota, nawet maszerując dnem i nocą, nie mogła dotrzymać kroku motorom. Motocyklista, któremu udało się przedostać z korpusu do dywizji pancerniej, opowiadał o napadniętych samochodach łącznikowych, o motocyklistach, zastrzelonych i leżących obok swych maszyn w rowie. Wkrótce zaalarmowano kompanię odwodową, gdyż w najbliższej wsi na zachód, Niemcy zostali zaatakowani i znajdują się w ciężkiej opresji. Ponieważ czołgi nie spotkały się z obroną przeciwpancerną, odcięcz kompanii pionierów, otoczonej przez Polaków w sąsiedniej wsi, powiodła się w ostatniej chwili i Polacy musieli się cofnąć. W drodze do następnej wsi widzą niemiecki czołg porzucony na gościńcu. Został napadnięty ubiegłej nocy, gdy wracając z warsztatu, jechał za pułkiem. Co się stało z załogą tego nie dowiedziano się ani teraz, ani później.

Kompanja szerokim łukiem, ostrzeliwując napotkane laski, powraca do punktu wyjścia. Po drodze zostaje jeszcze raz ostrzelana z domów, co jest początkiem nowego polskiego natarcia. Czołgi wykonują w prawo zwrot i jadą w kierunku ognia. Wtem z za narożnika błyska ogień wylotowy działka przeciwpancernego. Pociśk trafił inny wóz. Teraz trzeba z jaknajwiększą szybkością działać. Jednak w wozie pamiętnikarza działka zacięły się! Załodze przebiegają ciarki po grzbiecie, choć niedziwota, piasek i kurz musiały oddziaływać na funkcjonowanie broni. Teraz widzą dokładnie, jak polska obsługa kieruje na nich swe działko. Na odwrót już zapóźno. Obsłudze czołga udało się oddać kilka strzałów, gdy nagle zatrzymał się on gwałtownie. We wnętrzu wozu jasna błyskawica. Kierowca nie drgnął, zwisając całym ciałem na kierownicy; reszta obsługi wyskakuje, osłaniając się świecą dymną przed ogniem polskich karabinów maszynowych. Mimo to, zanim dotarli do najbliższego zagłębienia, jeden z nich został ranny. Dopiero inne czołgi wybawiają ich z opresji.

ODDZIAŁY ARMJI RADOMSKIEJ WALCZĄ Z NIEMIECKĄ DYWIZJĄ PANCERNĄ POD IŁŻĄ.

Reinecker. — „Panzer nach vorn“. — Str. 92—98.

Około 10 września niemiecka dywizja pancerna zostaje pośpiesznie skierowana głębokim marszem oskrzydłającym z południa, od Radomia przez Ostrowiec do Iłży i zajmuje stanowiska po obu stronach szosy Lipsko — Iłża frontem na zachód, celem odciążenia odwrotu armji radomskiej za Wisłę.

Jest już późne popołudnie, przed sobą mamy tylko pułk kawalerji spieszanej. Armja polska jest wprawdzie zaatakowana od zachodu, nie wiemy jednak, jakie siły rzuciła, by otworzyć sobie odwrot gościńcem Radom — Puławy.

Z frontu przywożą rannych kawalerzystów. Łącznicy meldują, że walka toczy się ze zmiennym szczęściem. Dowódca pułku kawalerji poległ, a z nim większość jego sztabu. Coraz nowe siły nieprzyjacielskie nacierają. Już nasza druga kompanja pancerna jest na przodzie i musiała wielokrotnie interwenjować. Nasz pułk pancerny będzie musiał wytrzymać główny napór.

Noc nie pozwala na użycie czołgów. Nie ustaje jednak ogień karabinów maszynowych, artylerja zaś niemiecka wysyła granat za granatem na Polaków.

Nazajutrz o godzinie 7,30 dowódca bataljonu otrzymuje rozkaz wykonać dwoma kompanjami, pierwszą i trzecią, przeciwnauderzenie okrakiem na szosie do Iłży, by otworzyć dywizji drogę do Radomia. Mijamy wkrótce naszą pierwszą linję. Ze skraju wsi i kartoflisk przed miejscowościami Maziarze i Podkończe wita nas polski ogień z 20 armat i 60 karabinów maszynowych. Polacy wyprowadzają nawet miotacze płomieni. Musimy osiągnąć nasz cel: drogę Iłża — Błaziny. Oddział niemieckiej artylerji przeciwlotniczej jest otoczony na wzgórzach przed tą wsią. Walczymy już od dwóch godzin. Dwa plutony 3 kompanji utknęły przed masą nieprzyjaciela na naszym lewym skrzydle. Pozostają jako osłona skrzydła. Inne plutony z trudem przedzierają się do przodu. Widzimy karabiny przeciwczołgowe, ogień których przedziurawia nasze pancerze. Naciskamy bez ustanku spustы naszych karabinów maszynowych i widzimy w ognistych wiązkach świetlnej amunicji padające ciała ludzi i koni. W momencie tym istnieje jedno prawo spiżowe: ty lub ja.

Nasze gasienice miażdżą zabitych i żywych, którzy trwali do ostatka. Mimo to polska artylerja i obrona przeciwpancerna strzela z niezminiejszą gwałtownością. Między czołgami wytryskują fontanny ziemi. Często błyskają iskry pocisków trafiających, przez luki pancerza.

Nagle jeden z czołgów zatrzymuje się — wieża jego nie obraca się. Pocisk nieprzyjacielski rozbił pokrywę wieży i zniszczył mechanizm

obrotowy. W tej samej chwili kierowca osunął się, zabity na siodłku. Czołg stoi w najsilniejszym ogniu nieprzyjaciela. Z trudem udaje się jednemu z załogi usunąć zabitego kierowcę z miejsca i wyprowadzić czołg z pola ostrzału polskich granatów.

Dowódca plutonu zginął od postrzału w głowę z karabinu przeciwpancernego wkrótce po przekroczeniu własnych linii. Również strzelcy pancerni z dwóch innych czołgów zginęli od kul karabinów przeciwczołgowych, a jeden strzelec został ranny.

Po osiągnięciu drogi Iłża — Błaziny dowódca bataljonu czołgów daje rozkaz cofnięcia się z powrotem na stanowiska wyjściowe. Widocznie pozostawanie na wysuniętej pozycji, wobec meżnej postawy wojsk polskich, wydało się Niemcom zbyt ryzykownym.

BÓJ POD OSIEKIEM 11 WRZEŚNIA.

„Wir zogen gegen Polen“. — Str. 26—30.

Północne skrzydło armii krakowskiej wycofywało się ze Śląska lewym brzegiem Wisły w kierunku przeprawy pod Baranowem. Niemcy napierali silnie. By umożliwić siłom głównym przeprawę, tylna straż armii obsadziła miejscowość Osiek na zachód od Baranowa nad Wisłą. Na zachód od Osieka rozciągały się wielkie lasy, przez które przedzierali się Niemcy. Niemiecki bataljon straży przedniej ze składu VII korpusu bawarskiego, wsparty baterią artylerji przystąpił do natarcia, uderzając od czoła i prawego skrzydła.

Natarcie przez dobrze obserwowaną płaszczyznę, szerokości prawie 4 km., nie jest łatwem. Doskonale okopani Polacy wykorzystują to, utrzymując łagodnie wznoszące się ku Osiekowi pola i łąki pod ciężkim i celnym ogniem artylerji i zręcznie używanych karabinów maszynowych. Baterji niemieckiej udaje się podpalić pociskami Osiek. Ogień polski staje się jednak coraz dotkliwszy. Niemcy mają poważne straty. Zgiełk bojowy rośnie: również z północy, od strony Suchowoli, strzela polska artylerja. Natarcie niemieckie utyka. Mimo gwałtownego polskiego ognia baterja niemiecka zmienia stanowiska ku przodowi i prowadzi dalszą walkę ogniową. Opór polski jest jednak nie do złamania. Poważne siły nieprzyjacielskie uderzają z kierunku Suchowoli na lewe skrzydło kompanji niemieckiej. Tu straż przednia trafiła na gniazdo os. Szybko zapada zmrok. Baterja niemiecka ma tylko 8 pocisków. Kompanje muszą leżeć na miejscu i znosić jaknajcięższy ogień artylerji.

Nakoniec dołączył się do czoła cały pułk niemiecki, ale i wtedy nie można było posunąć się do przodu. Siły główne dywizji tkwią w lesie bez możności rozwinięcia się.

Nadchodzi meldunek, że Polacy podpalili las, w którym tkwi reszta dywizji oraz cała dywizja drugiego rzutu. Po przez dymy i ogień pożaru, którego płomienie zapalają łunę na niebie, muszą te wojska torować sobie drogę. Na szczęście wiatr odwraca się i zapobiega katastrofie; tylko garść wozów i samochodów niemieckich pada ofiarą pożaru. Upał jednak w płonącym, zięjącym iskrami, lesie staje się nie do zniesienia.

Tylko potężnym uderzeniem można złamać opór polski pod Osiekiem. W ciągu nocy udaje się dywizji niemieckiej wydostać z lasu i stanąć w pogotowiu do natarcia. O świtanu zajeżdża pułk artylerji VII korpusu na pozycje.

Rankiem 12 września rozpoczynają Niemcy natarcie, trafiają jednak w próżnię, gdyż Polacy już Osiek opuścili, zrećźnie przestaniając odwrót.

DWA NIEUDANE FORSOWANIA SANU.

„Wir zogen gegen Polen“. — Str. 37.

VII korpus bawarski przeprawił się przez Wisłę pod Tarnobrzegiem i Baranowem dnia 13 września, staczając potyczki we wsiach Miechocin i Wielowieś z opóźniającymi oddziałami polskimi. Kolumny niemieckie doszły w dalszym marszu bez oporu do Sanu.

Straż przednia natychmiast przystąpiła do przeprawy; ponierzy rozpoczęły budowę tratw, próbując przeprawić się na nich przez San. Zaledwie jednak pierwsze tratwy zostały zsunięte na wodę, zaledwie odepchnęły je dragami i łopatami kilka metrów w stronę przeciwnego brzegu, otworzyło się piekło. Ogień karabinów maszynowych i zwykłych zaczął siec wodę, wywołując w niej małe fontanny. W piasku nadbrzeżnym ryły pociski, podnosząc chmurki pyłu. Już trafieni spadają z tratw, reszta śpieszy, jak może, z powrotem ku brzegowi. Powoli prąd pędzi porzuconą tratwę w dół Sanu. W pośpiechu zagrzebuje się straż przednia za wałem nadrzecznym. A wtedy wyje i gwiżdże nad ich głowami. Głuche wybuchy granatów. Polska artylerja. Każdy szuka osłony jak może. Niemcy meldują do tyłu o poważnym polskim oporze. Dopiero po pewnym czasie ucicha polski ogień. Wtedy próbują jeszcze raz.

Niemiecka baterja zajęła pozycję i wspiera natarcie. Ale jedna baterja jest za słaba, aby wygnieść te gniazda karabinów maszynowych i rozproszone wneki strzeleckie. Aż do połowy Sanu udaje się Niemcom dojechać, poczym załamuje się i druga próba w polskim ogniu. Zapada noc, a gdy nazajutrz Niemcy obserwują przeciwny brzeg, stwierdzają, że Polacy znikli.

Polskie oddziały opóźniające po spełnieniu zadania wycofały się.

ZASKOCZENIE NIEMCÓW OGNIEM ARTYLERJI POD ŁODZINKĄ

Manz. — „Alpenkorps in Polen“. — Str. 104—115.

Oddziały polskie usiłują przebić się z Przemyśla na południe. Górska dywizja austriacka, przekroczywszy San, spycha ich z powrotem.

Nie możemy Polakom pozwolić na zaczepienie się w terenie, gdyż potem natarcie kosztuje wiele krwi. 10 kompanja bataljonu strzelców górskich z Kufsteinu miała kwaterować w Łodzince, jednej ze wsi w pobliżu Birczy, którą minęliśmy wieczorem 11 września. Nagle bataljon zatrzymał się. W naszych kwaterach siedzą jeszcze Polacy. Śmiertelnie znużeni walimy się na ziemię, ledwo zdobywając się na wystawienie ubezpieczeń. O świcie 12 września przelatuje nad nami nisko, spokojnie jakiś samolot. Myślimy, że to nasz rozpoznawca. Poгляд ten miał nas kosztować dużo krwi.

Niespodziewanie gwiżdże coś w powietrzu i wybucha za nami z wielkim hukiem. Polska artylerja! Padają dalsze granaty. Na wysokość domów tryskają fontanny ziemi. Kryj się, kryj się! To lotnik kieruje ogniem. Oddziały rozbiegają się w terenie, szukając osłony. Wtem gwizd nad głową. Ciśnienie powietrza rzuca mnie na ziemię. Granat pękł na środku gościńca. Na miłość Boską, tam stała przecież kuchnia polowa — ta musiała dostać! Coraz gęściej padają granaty. Gdzież mam się wyknąć ze swoją kompanją? Szybko rozglądam się w terenie. Znowu detonacja na gościńcu. Konie i ludzie tarzają się w dzikim kłębie. To trafiło w 7 kompanję. W tym samym momencie okropny trzask nad nami w koronie drzewa. Stojący obok mnie sanitariusz dostaje odłamkiem w hełm, tak że pada jak długi. Drugiemu odłamek granatu łamie karabin — dostaje wstrząsu nerwowego i spada apatycznie na kamieniu. Muszę mu dobrze przemówić do słuchu, aby go postawić na nogi. Niema czasu do stracenia. Musimy przesunąć się dalej, aby wydostać się z ognia. Ogniem jednak kieruje widocznie lotnik, bo granaty nam towarzyszą. Przechodzę trwożne chwile, gdyż jestem odpowiedzialny za tyle istnień ludzkich. Nakoniec jakiś las ukrywa nas przed obserwacją — uderzenia granatów oddalają się. Za to dostajemy się ze wszystkich stron pod ogień karabinów maszynowych. Wróg jest niewidoczny — prawdopodobnie jest to ogień nękający. Nawiązuję łączność z dowódcą bataljonu. Polacy w rozpaczliwym natarciu usiłują przebić się na południe. Przygotowujemy się do przeciwnatarcia. Wtem po stronie polskiej rozlega się sygnał podany trąbką. Nie rozumiemy chwilowo o co chodzi. Po chwili jednak widzimy co on znaczył, bo Polacy wycofują się.

Akcja powyższa w opowiadaniu niemieckim jest ładnym przykładem polskiej inicjatywy, która zadała Niemcom straty i cały czas panowała nad sytuacją, nie dając przeciwnikowi narzucić sobie postępowania.

POLSKI BOMBOWIEC STRACA MYŚLIWCA
Z NAJLEPSZEGO NIEMIECKIEGO DYWIZJONU
NISZCZYCIELSKIEGO.

K. G. von Stakelberg. — „Jagdfliegergruppe G.” — Str. 127—159.

Było to 13 września 1939 r. pod Brodami. Niemiecki dywizjon myśliwski „G”, cieszący się sławą najlepszego i mający w dorobku największej zniszczonych polskich maszyn, wykonał z Dębicy nalot na polskie lotnisko polowe pod Brodami.

Tuż nad drzewami podkradają się myśliwcy ku lotnisku, położonemu na polanie leśnej. Już dowódca bataljonu chce atakować, gdy nadchodzi meldunek: nieprzyjacielskie bombowce na lewo.

W rzeczywistości kilka polskich bombowców tuż nad lasem dążyło do lądowiska.

Był to łatwy łup dla szybszych o 300 kl. na godzinę, zwinniejszych i lepiej uzbrojonych myśliwców. A jednak piloci niektórych bombowców byli tak wysokiej klasy, że nie dawali się łatwo np.:

Feldfebel eskadry, który w cywilu jest oblatywaczem fabryki samolotów, ma jedną z maszyn pod sobą.

Polak pędzi tuż nad drzewami, feldfebel za nim w szalonym pościgu. Prawie ocierają o wierzchołki drzew. Czasami wygląda to tak, jak gdyby Polak spadł, potem jednak wynurza się znowu. Wykorzystał jedynie polanę, aby zniknąć za drzewami, przemyka się tam tuż nad ziemią, wyskakuje potem znów wysoko ponad drzewa. Chłop jest przeklęcie zręczny, feldfebel nie może prawie dojść do strzału, tymczasem polski strzelec strzela z ogona ile wlezie. Feldfebel musi w tej dzikiej pogoni ogromnie uważać, aby nie uwięznąć w wierzchołkach drzew. Teraz ma znów Polaka na muszce. Strzelać. Dystrans może 60 m. Strumień pocisków świetlnych mija maszynę polską. Polak odpowiada. Puk, puk, puk, uderza gdzieś w maszynę jak grad kamieni. Walka idzie dalej. Feldfebel podrywa swoją maszynę, trzeba wznieść się nad przeciwnika i strzelać z góry. Feldfebla ogarnęła już wściekłość. Ten drab musi spaść. Zapada już lekki zmrok i jak cień przemyka się Polak ponad ciemnym lasem. Teraz spada nań myśliwiec z góry. Wszystko mu jedno choćby miał usiąść na drzewach. „Prosto na niego!” zgrzyta feldfebel, przechyla się do pionu nad polską maszyną i spada na nią jak pocisk. Teraz jest tylko jeszcze 50 m., teraz tylko 40, teraz 30. Na 20 m. odzywają się wszystkie 4 karabiny maszynowe. Jeśli teraz nie spadnie, to chyba z diabłem ma do czynienia.

W tem maszyna polska robi skok, przewraca się ku przodowi i spada w las. Trzask. Płaty odpadają. Korony drzew zamykają się nad maszyną. Wydaje się, jakgdyby okręt zatonął w morzu.

Feldfebel ma jednak robotę, aby maszynę swą znów zawczasu po-

derwać do góry. Na centymetr nad wierzchołkami drzew podrywa ją do góry. O włos musiałby sam wylądować na dole. W chwili gdy podciąga się do góry, widzi w dole tam, gdzie spadła polska maszyna, ogień buchający szybkim jasnym płomieniem, a potem eksplozję.

Gorzej poszło drugiemu myśliwcowi. Popędził on za polską maszyną i zniknął z nią za horyzontem. Zabrakło go przy zbiorce po nalocie. Powrócił dopiero po 3 tygodniach, ale bez samolotu. Oto jego opowieść:

Pędzę za drugą polską maszyną. Chłop strzela jak opętany, lecz myślę — tylko ostro naprzód i dobieram się mu do skóry. Gdy dostatecznie się zbliżyłem, naciskam na moje karabiny maszynowe i puszczam serję. Wiązka pocisków siedzi w celu. W tym samym momencie maszyna moja również traci równowagę i w chwili, gdy Polak opada, mam roboty choćby na cztery ręce. Dostałem pocisk w kabinę, mam odprysk szkła w oku i poza tym co gorsza odczuwam, że za plecami robi mi się ciepło. Trafiło mi w zbiornik benzyny, pudło się pali. Ładna historia. A więc wysiadać. Dziwna rzecz jak się w takich momentach jest spokojnym. Przygotowuję się, chwytam pistolet, rozluźniam gurty spadochronu, aby się łatwo wydobyć po wylądowaniu, bo z tyłu po za mną grzeje coraz więcej, a gdy pęd powietrza ustanie, wtedy z pewnością płomień uderzy od przodu. Na dole jest las, wśród niego coś podobnego do łąki, która wydaje się korzystną do lądowania.

Ładuję zdrowo, wyskakuję z pudła możliwie jaknajprędzej i oddaję 4 strzały w motor, aby maszyna zaraz uczciwie się zapaliła i nie wpadła w polskie ręce. Teraz mam 8 kul w pistolecie i stoję w koszuli i spodniach lotniczych wśród polskiego lasu. Gdzie pójść teraz?

Lotnik ten z trudem uciekł polskiej pogoni, trwającej do późna w nocy, a ukryty przez Ukraińców, doczekał się wkroczenia Rosjan i odesłania do Niemiec.

KAPRAL Z NAD BZURY.

Lück. — „Volksdeutsche Soldaten unter Polens Fahnen“. — Str. 85—93.

17 dywizja piechoty, wchodząca w skład armji poznańskiej, przeprowadza natarcie w kierunku na Łęczycę.

Natarcie armji, prowadzone przez gen. Kutrzebę, trafia w północne skrzydło gen. Blaskowitza, grozi przerwaniem się do Łodzi i naraża Niemców na ciężki kryzys, który z trudem opowijają.

Oto opis uczestnika, strzelca narodowości niemieckiej, walczącego w polskich szeregach.

15 września nasza kompanja, zatrzymawszy się w jednej ze wsi na

północ od Bzury, ma zakomunikowany przez swego kapitana rozkaz o przewidywanym natarciu. Rozkaz ten elektryzuje kompanię. Będziemy w pierwszej linii. Ożywione zamieszanie. Wyrzucamy niepotrzebny balast z tornistrów, łykamy ostatnie konserwy. Koledzy Polacy rzucają hasła pełne zapału. O zmroku, już pod ogniem artylerji niemieckiej, zajmujemy podstawę wyjściową, czekając świtu.

16 września przy pierwszym brzasku posuwamy się jeszcze 500 m. do przodu i okopujemy w małym lasku brzoźowym. Nieprzyjaciela jeszcze nie widzimy, lecz już prowadzą 5 jeńców niemieckich, schwytanych przez polskie patrole. Radosny nastrój ożywia wzburzone umysły...

Nagle rozpoczyna się ogień artylerji niemieckiej. Jedna serja granatów następuje błyskawicznie po drugiej. Kompanja padła momentalnie na ziemię, szukając ochrony. W tym krytycznym momencie rozbrzmiewa komenda — nasz kapitan ryczy: „naprzód, naprzód, wyłazić z lasu 100 m. do przodu, zanim nas złapią”. Wyskakujemy, udało się nam. Następna serja granatów leży za nami. Wtem głuchy huk z tyłu i ponad naszymi głowami gwiżdżą granaty polskiej artylerji na niemieckie pozycje. Jest to hasło do dalszego posuwania się. Ruszamy gwałtownymi skokami, przynaglani przez naszego dowódcę kompanji. 20 m., 30, 40 — ogień karabinów maszynowych staje się coraz silniejszy, grad kul coraz gęstszy. Już padają pierwsi ranni. Jęk ich miesza się z krzykiem komend. Leżę w pierwszej linii w leju od granatu i łapię oddech. Dwa metry w lewo, nieco za mną, leży mój drużynowy. Właśnie zrywa się, krzyczy „naprzód”, gdy pada. Dobry to był chłop. Wołam do niego, ale nie rusza się. Teraz to już nie wytrzymam wśród tego jęku, hałasu i ryku „naprzód”!...

Wtem kapral podnosi znowu głowę. Na jego zmazanym krwią obliczu zwisa krwawy strzep nosa, odrywa go sobie jednym ruchem ręki, chwytając karabin, zrywa się i biegnie do przodu.

Wtedy zrywam się i ja, pędzę, mijając go, padam w lej, podrywam się znowu — tylko naprzód, naprzód! Bez tchu padam w kartoflisko, dalej jednak nie mogę. Nad głową gwiżdżą mi wiązki karabinów maszynowych. Powoli podczołguje się do mnie kilku innych. To sekcja ręcznych karabinów maszynowych naszej drużyny z Ukraincem Sirko na czele. Jest nam rażniej. Tak nadchodzi wieczór, bezsenna noc i znów krwawy poranek.

17 września jesteście zaledwie o 100 m. od niemieckich stanowisk. Nasze karabiny maszynowe zaczynają pierwszy ogień. Nieprzyjaciel odpowiada gwałtownym ogniem artylerji i karabinów maszynowych na poszczególne części naszej tyraljery. Zakopujemy się głębiej w miękkie kartoflisko, poczym zaczynamy się odstrzeliwać. Tymczasem Sirko doprowadził swój ręczny karabin maszynowy do ładunku i przyłącza się do szybkimi serjami. Niestety pierwszy granat niemiecki, przy-

słany w odpowiedzi, rozszarpuje naszego Ukraińca przy karabinie maszynowym. Tymczasem nasza druga linja, którą dotąd oszczędzały nieprzyjacielskie pociski, szturmuje. Szturm załamuje się jednak w ogniu niemieckim. Następuje jakby przerwa w walce, ale po pewnym czasie z tyłu rozlegają się znów okrzyki „hurra!”, to szturm trzeci...

...Tak nacierała 17 dywizja.

BAGNO I LAS POMAGAJĄ POLAKOM W WALCE Z CZOŁGAMI NIEMIECKIMI

Reinecker. — „Panzer nach vorn”. — Str. 222—231.

W kampanji wrześniowej pogoda ułatwiła ruchy czołgów nieprzyjaciela. Jak gdyby ziemia rodzinna zdradziła swych obrońców. Niewolno nam jednak zapominać, że Niemcy posuwali się i walczyli tylko na głównych szlakach, a niechętnie zapuszczali się na boki, gdzie czekały ich niespodzianki terenowe. Gdy czołgi niemieckie zaawanturowały się — grzęzły, mimo tak suchej jesieni, całymi plutonami w błocie.

Oto opis niemieckiego świadka:

— Czołgi utknęły na amen w podstępnym bagnie, które miało pozory pięknej o jesiennym przepychu barw, łąki. Każdy ruch gąsienic wciskał ciężkie czołgi jeszcze głębiej. Załogi w pędzie nie zauważyły, że niespostrzeżenie skończyła im się łąka, a zaczęło się grzęzawisko. Obserwowaliśmy skraj lasu, oczekując w każdej chwili nowego natarcia Polaków. Byliśmy nietylko niezdolni do ruchów, ale i bezbronni, gdyż czołgi grzęzły nierównomiernie, przechylając się na boki. Gdy lufy jednego z nich, wskutek przechylenia, patrzyły o kilka metrów przed czołg w ziemię, to lufy drugiego szukały gwiazd na niebie. Polskie bagno pokazało co potrafi. Jedyne możliwości wezwać pomoc przez radio. Radjotelegrafista jednak machał ręką zrezygnowany: „Nie słyszę nic, są za daleko, trzeba czekać, może znajdą się w naszym zasięgu”. Załogi zdecydowały się opuścić wozy i przekraść grupami do oddziałów niemieckich.

Ledwo załogi wydobyły się z czołgów i zaczęły się grupkami przekradać przez błoto, zabębniły po czołgach polskie pociski. Wkrótce Polacy wyskoczyli z lasu i ruszyli tyraljerą na Niemców. Dowódca plutonu widział, jak załogi pozostałych czołgów wdały się w walkę wręcz, jakże nierówną. W jednym z czołgów pozostał radjotelegrafista niemiecki, który, ryzykując polską niewolę, zdążył wezwać najbliższy oddział niemiecki na pomoc.

Niemcy wysłali na pomoc 5 czołgów lekkich i 5 ciężkich. Posuwanie się odsieczy niemieckiej zostało zatrzymane przez polską obronę przeciwpancerną. Tylko lekkim czołgom udało się przerwać, lecz zaraz wrócili z powrotem; ciężkie zatrzymały się przed lasem, ugrupo-

wując się na kształt jeża i odstrzeliwując się Polakom. Kilku tylko z pośród niemieckich strzelców pancernych z ugrzęźłych czołgów zdołało się przedostać. Nawet nadejście po 3 kwadransach posiłków, złożonych z 2 czołgów, nie pomogło. Las i bagno oraz katastrofa towarzyszy złamały ich ducha ofensywy. Polacy podsuwali się coraz gęściej, zagrażając czołgom, o ile się nie wycofują. Niemcy wybrali odwrót.

WALKA POD HARTFELDEM DNIA 15 WRZEŚNIA.

„Der Polenfeldzug im Tagenbuch eines Gebirgsartilleristen”. —
Str. 53—57, 59—72.

Hartfeld to nazwa kolonii niemieckiej na północ od Gródka Jagiellońskiego. Przez Gródek Jagielloński przebiega z północy na południe linja stawów na rzece Wereszycy, zamykająca od zachodu dostęp do Lwowa.

W dniu 13 września dywizja górska zagonem samochodowym, jadącym od strony Sambora, zaatakowała Lwów. Wojska polskie były jeszcze w tym momencie pod Przemyślem i Sądową Wisznia, gdzie nad resztkami armii rzeszowskiej objął dowództwo gen. Sosnkowski. Można było spodziewać się, że zechce on przedostać się do Lwowa. To też już w nocy z 13 na 14 września dowódca bawarskiej dywizji górskiej wydzielił osobną grupę dla obrony linii stawów i zamknięcia drogi gen. Sosnkowskiemu. W skład tej grupy, obok niezbyt wielkiej ilości piechoty, wchodziło 8 baterij artylerji.

15 września o godzinie 22 rozpoczęli Polacy natarcie na Gródek Jagielloński, wdzierając się w ugrupowanie niemieckie. Teżoż dnia o godzinie 23 na odcinku miejscowości Hartfeld przełamali front niemiecki i, likwidując Niemców w miejscowości Ręczycany, przedarli się częściowo w kierunku Lwowa.

Oto fragmenty:

Pełni niepokoju czekamy od zapadnięcia zmroku na polskie natarcie. Rakieta za rakieta wznosi się na horyzoncie, oświetlając upiornym światłem pustkowie przed nami. Nagle na lewo poza nami ogień karabinowy — karabiny maszynowe! To na skraju Gródka; jedna z zagród płonie — widać jaskrawe płomienie. Czyżby nieprzyjaciel przekradł się przez słabe placówki naszego lewego skrzydła? Na miłość Boską! — przecież tam leżą stanowiska ogniowe naszej baterji. Jeżeli uderzenie dosięgnie naszych nielicznych kanonierów i nasze konie oraz muły, to niech nam Pan Bóg będzie łaskaw! Znów szopa płonie. Na drugiej stronie gościńca płomienie buchają z fabryki. Ogień karabinowy jednak cichnie. Widać nieprzyjaciel wycofał się.

Jednak tuż potem, na godzinę przed północą, zaczyna się zabawa w

Hartfeldzie. Tam musi iść ostro. Raz po raz rozlega się grzechot karabinów maszynowych. Artylerja rżnie w międzyczasie. Rakiety wznoszą się w powietrze. Teraz czerwienieje niebo coraz silniej. Cały Hartfeld musi stać w płomieniach. Dopiero po wielu godzinach uspokaja się tam — tylko łuna pożaru rozjaśnia niebo. Co się tam stało?

Tragiczna zmienność losów wojny. Niemieckie oddziały otrzymały rozkaz przegrupowania się. W tym samym momencie rozpoczęły nagle Polacy potężny ogień z karabinów, karabinów maszynowych i dział piechoty na słabo obsadzony front pod Hartfeldem. Polacy zakradli się pod osłoną nocy — prawdopodobnie przeprowadzeni przez miejscową ludność — i uderzyli z nieludzkim krzykiem masami wprost na sztab i znajdujące się w ruchu baterje III dywizjonu artylerji górskiej.

Nieopisane zamieszanie, połączone z hałasem, jakgdyby się świat kończył. Ciemno choć oko wykol noc, wśród której strzelano na oślep, tłuczono się kolbami, a równocześnie walono z dział, gdzie jęko- wi rannych towarzyszyły wybuchy granatów ręcznych. Zamieszanie to wyjaśniło się dopiero wtedy, gdy pożar Hartfeldu i pierwszych domów w Ręcycanach rozjaśnił pobojuwisko.

Na froncie strzelcy i artylerzyści — tylko małe grupki udało się tu i tam zebrać — zatkali jako tako dziurę po przełamaniu i wstrzymywali dalszy napór nieprzyjaciela. Tymczasem Polacy, którzy przedarli się do miejscowości Ręcycany, atakowali z najbliższej odległości działa, zgrupowane w jeża i odstrzeliwujące się kartaczami. Zдали przy tym III dywizjonowi ciężkie straty. Na cmentarzu w Hartfeldzie padł dowódca dywizjonu i wielu z jego kanonierów. Pełne samochody ciężarowe rannych zwieziono na punkt opatrunkowy.

Natarcie to przeprowadzały oddziały 38 dywizji rezerwowej, utworzonej z bataljonów Korpusu Ochrony Pogranicza. Tragiczną dla nich rzeczą był brak wsparcia artylerji. Przeciw jednej baterji polskiej działało 8 niemieckich. Natarcie Polaków, stwierdzają Niemcy, było prowadzone z niesłychaną walecznością i wielokrotnie powtarzane mimo ciężkich strat. Część żołnierzy polskich zdołała się przebić.

OBRONA BRZEŚCIA NAD BUGIEM.

Frowein. — „Schluss mit Polen". — Str. 22, 66, 61, 114, 112.

Grabber. — „Mit Bomben und M. G. uber Polen". — Str. 135—137.

Supf. — „Luftwaffe schlägt zu". — Str. 28—29.

Lier. — „Pioniere im Kampf". — Str. 90—92.

Reinecker. — „Panzer nach vorn". — Str. 190—198.

Rozkaz obrony Brześcia został wydany przez Naczelne Do-

wództwo w nocy z 11 na 12 września, t. j. w momencie, gdy niemiecki korpus pancerny po sforsowaniu Narwi, znajdował się na czołgach i samochodach o 40 km. na północ od Brześnia.

W tym samym czasie inne oddziały niemieckie, sforsowawszy Narew pod Rożanem, maszerowały na Siedlce — Łuków — Garwolin, celem odcięcia wojskom w rejonie Warszawy drogi na wschód, a równocześnie zmotoryzowane oddziały niemieckie posuwały się z Jarosławia przez Zamość w kierunku Chełma oraz przez Sanok w kierunku Sambora, zagrażając od południa Lwowowi.

Niepomyślne położenie ogólne odczuwali żołnierze Brześnia, widząc płynące na wschód fale uciekającej ludności, ewakuowanych dowództw wojskowych a potem rozbitków. Nie załamało to jednak ich ducha.

Siły przeznaczone do obrony Brześnia były nader szczupłe — dnia 12 września tylko 2 bataljony marszowe 35 i 82 p. p. bez karabinów maszynowych oraz ochotnicy ośrodka zapasowego 30 p. a. l. z kilkunastu armatami 75 mm. w znacznej części bez zaprzęgów. Brakowało całkowicie środków łączności i drutu kolczastego. Załogę pomnożono wieczorem 12 września oraz w ciągu 13 września, wyładowując z pozostawionego bez rozkazu transportu kolejowego 2 kompanie starych czołgów Renault z wojny światowej o szybkości 3 km.godz. Dwa bataljony marszowe 33 i 34 p. p., ściągnięto z szosy oraz uzupełniono ochotnikami spośród rozbitków.

Jedynym środkiem rozpoznawania wobec zmotoryzowanego nieprzyjaciela był pociąg pancerny, zatrzymany na stacji.

Dowództwo obrony Brześnia nad Bugiem postawiło sobie za zadanie utrzymanie tego węzła drogowego i rzecznoego do chwili podejścia cofających się wojsk z nad Narwi, lub świeżo utworzonych jednostek ze wschodu Polski. Obrona Brześnia miała zapewnić swobodę manewrowania po obu stronach Bugu i Muchawca oraz punkt oparcia w walce.

Licząc się z posiadanymi siłami oraz natarciem ze wszystkich kierunków nie można było myśleć o obronie na linii fortów, długości kilkudziesięciu kilometrów, co wymagałoby armji wielotysięcznej i odpowiedniego przygotowania technicznego. Postanowiono opóźnić nieprzyjaciela na przedpolu twierdzy wypadami pociągu pancernego oraz patroli oficerskich, wydzielonych na forty. Całą obronę skoncentrowano w cytadeli i na jej bliskim przedpolu, wysuwając ku północy, jako najbardziej zagrożonej, czaty przeciwpancerne z 8 armat 75 mm., osłonięnych paru plutonami piechoty.

Dnia 13 września podczas organizowania obrony pociąg pancerny przeprowadził wypad w kierunku północnym i wschodnim, przyczem stoczył walkę z przednią strażą nieprzyjaciela.

ską pod Żabinką.

Dnia 14 września Niemcy przeprawili się przez Muchawiec na wschód od Brześcia i odcięli Brześć od Kowla. Tegoż dnia atakowali sam Brześć.

Oto co mówi pamiętnikarz niemiecki o obronie twierdzy:

O godzinie 6 rano kompanja ciężkich czołgów z paru czołgami rozpoznawczymi i oddziałem pionierów posunęła się od Żabinki, od wschodu pod bramę kobryńską cytadeli. Zamiarem dowódcy tej grupy, zwanego wśród żołnierzy dla swego impetu kapitanem Wyrwą, było zaskoczyć obrońców, wziąć szturmem bramę, wjechać do cytadeli i zatknąć na niej flagę niemiecką. Stało się inaczej. W momencie zbliżania się do bramy zagrzmiało polskie działo. Pocisk uderzył w antenę czołgu kapitana i zgiał ją, ale, co gorsza, granat wybuchnął przy tym i zasypał gradem odłamków dwu pionierów, którzy z granatami ręcznymi w workach leżeli rozplaszczeni na dachu. Obaj zostali zabici natychmiast i spadli na gościniec. Drugi strzał z tego działa uderzył w wieżę drugiego czołgu. Obydwaj pionierzy, którzy leżeli na jego grzbiecie, zostali również na miejscu zabici, a ich granaty wybuchły. Działo Polaków strzelało niewymownie płasko. Kanonier jednego z czołgów rozpoznał do pewnego stopnia jego stanowisko i strzelił ze swego działa, lecz krzywa lotu pocisku była zbyt wygięta, tak że pocisk eksplodował w gałęziach drzew.

Tu natarciem czołowym nie można było nic zrobić. Kapitan dał natychmiast rozkaz radiowy cofnięcia się w boczną uliczkę. Podczas tego wokół czołgów tańczył grad granatów. Niepotrzebnych ofiar należało uniknąć. Działo Polaków zadobrze się zamaskowało.

W bocznej uliczce kapitan z sierżantem wysiedli z czołga, wysunęli się na szosę i, leżąc za drzewem, chcieli przez lornetki ustalić pozycję działa, ale już wybuchły znowu granaty w pobliżu, a więc znowu w nogi w boczną uliczkę. Polacy byli tak dobrze wstrzelani, że natychmiast wybuchały granaty, gdy ktoś nos wysunął z uliczki na szosę. Motocyklista, którego nie zdołano w porę ostrzec, pędził szosą ku kompanji, gdy posypał się nowy grad granatów. Zginał na miejscu.

Teraz zmieniono cały kierunek natarcia na Brześć Litewski, tak że niebezpieczna droga pozostała pusta i więcej ofiar nie pochłonęła.

Po tym niepowodzeniu próbują Niemcy zbliżyć się do cytadeli od północy, objeżdżając szerokim łukiem miasto wzdłuż linii fortów. Patrole oficerskie spotykają ich ogniem. O ich porze tak mówią Niemcy:

Forty Brześcia nad Bugiem pochodzą jeszcze z ubiegłego stulecia, ale były bronione przez zaciętego nieprzyjaciela. Prawie każdy z nich musiał być brany szturmem.

Po zwalczeniu oporu patroli na fortach, czołgi niemieckie grupują się w lasach na północ od miasta i od godziny 10 rano zaczynają ostrzeliwać północny skraj miasta granatami, wysyłając równocześnie od skrzydeł oddziały piechoty dla rozpozna-

nia przeciwnika. Zmiana kierunku natarcia nieprzyjacielskiego z kierunku wschód-zachód na kierunek północ-południe była dla obrony cytadeli bardzo korzystna, gdyż tam właśnie znajdowała się linia dział przeciwczołgowych, dobrze zamaskowana na skraju miasta. Było to zasługą świetnie funkcjonującej obsługi dział, broniącego bramę kobryńską.

Zgodnie ze swym przeznaczeniem działa przeciwczołgowe podczas ostrzeliwania milczą, a odpowiada tylko artylerja wspierająca, złożona z jednej zaledwie armaty i odzywają się na skrzydłach piechurzy, wymieniając strzały z niemieckimi strzelcami. W walce tej, na lewym skrzydle, motocykliści polskiej kompanji czołgów zdobywają na Niemcach karabin maszynowy, kładąc trupem obsługę.

Przed godziną 17 niemiecki czołg rozpoznawczy wysunawszy się do przodu melduje, że droga do miasta i cytadeli stoi otworem. Przeciwnika nie widziano. Ciężkie żelazne kolosy posuwają się naprzód w stronę cytadeli, jadra polskiego oporu, aby ułatwić natarcie. Ale wtedy otwierają się nagle wrota stodół, bramy wjazdowe domów. Polacy ustawili swe działa według tej samej metody, podług której działali podstępnie strzelcy w miastach. Wśród zarośniętego krzakami

—9—

nieprzejrzystego przedpola niemieckie czołgi widzą się w obliczu polskich baterij, jak im się zdawało 15 cm. Sekundy największego niebezpieczeństwa mijają. Jak grzmot rozlega się pierwsza salwa baterji. Jeden z granatów trafia w sam środek czołgu dowódcy kompanji, jadącego na czele. Radjotelegrafista zniszczonego czołgu siłą eksplozji został wyrzucony przez wyrwaną lukę i ciężko ranny leży na gościńcu. Walka rozgrywa się w odległości 80 m. od łuf polskich baterij. Czołgi niemieckie zwracają na ogień flankujący. Niejeden zostaje na drodze, zanim każde z dział polskich pojedynczo zostało zmuszone do milczenia.

Dzięki wielkiej ilości czołgów około godziny 18 linja artylerji została sforsowana i pierwsze czołgi niemieckie wraz z towarzyszącymi im motocyklistami i piechotą na samochodach podjechały pod bramę litewską i bielską na północnym skraju cytadeli. Powitały ich działa przeciwczołgowe, broniące tych bram, a piechurów niemieckich, gotujących się do szturm, zasypali gradem pocisków polscy piechurzy, obsadzający wały. Dzika furja ogarnęła Polaków. Pociskom towarzyszy ryk żołnierzy, wygrażających wrogowi. Na zew zgiełku bojowego artylerzyści przeciwlotniczy opuszczają swe stanowiska i pędzą na wały, by na ochotnika wziąć udział w walce. Zaskoczony tym nieprzyjaciół pośpiesznie wycofuje się z pola widzenia wałów, zostawiając przed bramami trupy.

Drugie z kolei natarcie niemieckie na cytadelę skończyło się niepowodzeniem. Już podczas podchodzenia załoga zmusiła

Niemców do zapłacenia słonego rachunku na linii dział przeciw-
czołgowych. O sforsowaniu bram nie mogło być mowy. Ale
pierwszy dzień walki nie był skończony. O godzinie 19-tej roz-
poczęli Niemcy niesłychanie intensywne bombardowanie twier-
dzy trwające przez 60 godzin dzień i noc z małymi przerwami
na szturm. Około 6.000 granatów 15 cm. padało dziennie na
przestrzeń zaledwie czterokrotnie większą od cytadeli warszaw-
skiej. W ciągu obu następnych dni 15 i 16 września próbują
Niemcy szturmów. Wdzierają się nawet w jednym miejscu do
cytadeli, lecz zostają wyrzuceni przeciwnatarciem. Oto fragment
jednego ze szturmów:

„Szturm na cytadelę w Brześciu nad Bugiem to było coś dla pionie-
rów. Aż do fosy już ciągnęliśmy się. Za nią wznosi się wał, naszpiki-
gowany strzelcami i karabinami maszynowymi. Chłopaków tych jed-
nak nie widać z poza zarośli, pokrywających szczyt wału. A kule tyl-
ko nam gwizdzą nad uszami. Do diabła z tym jednak, musimy naresz-
cie opróżnić nasze worki granatów ręcznych i umieścić nasze ładunki
wybuchowe, aby tym na górze należycie dopiec. Musimy więc przedo-
stać się przez fosę. W tym momencie przynoszą z tyłu tratwy gumo-
we, napompowane za zastoną. Rzucamy je na wodę fosy, skaczemy
na nie i odbijamy. Wita nas grad pocisków. Z wału toczą się gra-
naty ręczne w wodę i wybuchają w niej, tworząc wiry i fontanny. Jed-
nak nam trzem udaje się, dosiegamy podnóża wału i wlepamy tym
naprzeciw granaty ręczne, ogłuszając i oślepiając przeciwnika. W po-
łowie wału stoi nędzna zagroda kołczasta, tą trzeba by przeciąć. Czy
da się to zrobić kilku granatami ręcznymi? Pełnę do góry, żeby spr-
wę zbadać. Wtem, do diabła, przeszywa mi coś palącego pierś i zwa-
ła na ziemię. Nie mogę się podnieść. Ci z góry spostrzegli nas i za-
sypują pociskami. Ogień staje się coraz gwałtowniejszy. Tratewka
gumowa po naszym przeprowadzeniu się została z powrotem ściągnięta
na linie i leży teraz porzucona na drugim brzegu, podziurawiona jak
sito. Nasi musieli się cofnąć i zbierają się znowu, aby jeszcze raz u-
derzyć. W tym momencie dostaję kulę w ramię tak, że karabin wy-
pada mi z ręki. Ból diabelski...

Niesłodko więc było szturmować brzeską cytadelę. Dnia 16
września przed południem przeprowadzają się Niemcy przez Bug
poniżej Brześcia i otaczają twierdzę z ostatniej dotąd nieoble-
ganej strony — od zachodu. W międzyczasie wyjaśniło się, że
oczekiwane dywizje z nad Narwi bądź zostały wzięte do niewo-
li, bądź skierowały się na Chełm, — nie można też oczekiwać
nadejścia nowych dywizyj od wschodu. W tych warunkach o-
broncy decydują się przebić przez pierścień oblegających w no-
cy w 16 na 17 września w kierunku Chełma, celem połączenia
się z armią połową, gdyż powody operacyjne obrony Brześcia
straciły swe znaczenie.

Niemcy mówią o tym w sposób następujący:

Wśród ogólnego odwrotu większość załogi postanowiła sprzedać swe życie w cytadeli jaknajdrożej. Chwycili za karabiny, obsadzili stanowiska karabinów maszynowych i dział, próbowali nawet swymi czołgami w ostaniej chwili szaleńczo odważnego wypadu.

I nie tylko próbowali bo przebili się przez pierścień oblegających i ruszyli na południe, celem połączenia się ze spodziewanym tam gros sił polskich. W marszu swym oddziały załogi cytadeli stały się zawiązkiem kilkutysięcznej grupy. Biły się z nieprzyjacielem jeszcze dnia 30 września pod Janowem Lubelskim, a zlikwidowały się dnia 3 października nad Sanem, po otoczeniu przez Rosjan i Niemców, nie oddając jednak Niemcom ani jednej sztuki broni, ani jednego jeńca.

TYLNA STRAŻ GRUPY BRZEŚĆ W WALCE Z CZOŁGAMI NIEMIECKIMI POD SOSNÓWKĄ.

Reinecker. — „Panzer nach vorn”. — Str. 157—185.

19 września o godzinie 3 min. 45 dowódca niemieckiej grupy pancernej w Sławatyczach wysłał oddział pościgowy, złożony z ciężkich czołgów w kierunku na miasteczko Wiśnica. Niemcom chodziło widocznie o zniszczenie załogi cytadeli Brześcia, która 17 września przebiła się na miasteczko Kodeń.

W Wiśnicy Polaków już nie było. Zerwany most za miasteczkiem nie pozwolił Niemcom na dalsze posuwanie się na zachód, gdyż łożysko rzeczki było parowem o pionowych ścianach.

Dowódca oddziału pościgowego postanowił wrócić 20 km. na wschód i spatrolować lasy po obu stronach szosy. Po drodze Niemcy spotkali 3 polskich dezertków, z których jeden, Niemiec z Bydgoszczy, złożył im zeznanie i ofiarował się jako przewodnik.

Biwak polski w lesie zastali Niemcy pusty, ślady jednak prowadziły na południe. Przebijając się przez las, spostrzegli w momencie dojeżdżania do otwartej przestrzeni, że piechota polska znajduje się na skraju lasu. Czołgi niemieckie skierowały się na wieś Sosnówkę, znajdującą się na środku polany. Nagle otrzymały one ogień. Po silnej detonacji poznał porucznik, że we wsi muszą znajdować się działka przeciwpancerne.

Trafiło w czołg feldfelba Meiera, jak piorun weń uderzył. Kierowca ujrzał wszystkie gwiazdy, lecz prowadził dalej. Porucznik dał rozkaz radiowy jechania przez wieś, a więc pełnym gazem naprzód! Jeszcze dwukrotnie strzelało działko polskie, ciągle jednak nie można było odkryć jego stanowiska.

W odległości 600 m. za wsią ustawily się wozy w półkole, a dowódcy przepatrywali lornetkami wieś, aby stwierdzić, gdzie znajduje się działko, poczym skierowali się z powrotem na wieś. Przepatrywali każ-

dy narożnik. W tem znowu ogłuszająca detonacja. Teraz rozpoznali działko. Z piwnicy jednego z budynków murowanych błysnął płomień. Nie trzeba było żadnych dalszych rozkazów. Czołg ppor. Hartmana, uzbrojony w armatę, strzelił pierwszy. Jego 75 mm. granat uderzył w budynek. Chmury pyłu i dymu wystrzyliły w górę. Pocisk uderzył nieco za wysoko. Drugi granat opuścił lufę. Dym zasłonił okna piwnicy. Polskie działko nie odpowiadało. (Należy stwierdzić, że działka polskie stały na skraju lasu, a rzekome obsadzenie wsi potraktowali Niemcy jako pretekst do jej spalenia).

Niemieckie karabiny maszynowe ostrzelały pociskami zapalającymi strzechy, powodując liczne pożary.

Gdy już czołgi dokonały dzieła zniszczenia, skierowały się ku lasowi, gdzie spotkał je ogień tyraljerski i ciężkich karabinów maszynowych. Czołgi wjechały w las. Pod ich naporem drzewa waliły się z trzaskiem, nakrywając tkwiących pod nimi Polaków. Ogień karabinów maszynowych z czołgów nie ustawał. Niemcy wypatrywali grupy polskich żołnierzy, wysyłając im wiązki pocisków z ciężkich karabinów maszynowych i granaty z dział.

W tem z najbliższej odległości rozległ się potężny trzask i uderzenie w czołg dowódcy. Ciśnienie powietrza rzuca porucznika w tył. To z odległości 20 m. strzeliło polskie działko przeciwpancerne. Kierowca był przytomny. Skierował czołg wprost na działko, lecz było ono już ponownie gotowe i zionęło ogniem. Czołg otrzymał drugie uderzenie, tak że załodze jego zaświeciły wszystkie gwiazdy. W tym momencie najechał czołg właśnie na drzewo, wyrwał je w mgnieniu oka z korzeniami i rzucił na działko. Równocześnie ppor. Hartman, spostrzegłszy trudne położenie dowódcy, strzelił z najbliższej odległości kartaczem w działko. W gradzie odłamków padła zabita obsługa. Równocześnie czołg dowódcy najechał na działko i zmiażdżył je swymi gąsienicami. Tylko jednemu Polakowi udało się uciec. Pobiegł zgięty z suniętą w tył czapką, jeszcze się oglądając i widocznie zdziwiony, że jego strzały z tej odległości były bezskuteczne.

Porucznik obserwował z wieży. Sądząc, że okolica jest wolna od nieprzyjaciela, chciał wysiąść, aby stwierdzić, gdzie trafili Polacy i czy spowodowali ciężkie uszkodzenia. W chwili, gdy porucznik wystawił głowę — huknęło. Zsunął się, zatrzasnął lukę i zauważył, że silnie krwawi mu twarz. Równocześnie strzelił radjotelegrafista ze swego karabinu maszynowego. „Dlaczego strzelacie?” — zapytał porucznik. „Ależ panie poruczniku, tam stał na skraju lasu chłopak z granatami ręcznymi, które rozrzucał jak bukiety”. Kierowca stwierdził w tym samym momencie, że czołg odmawia posłuszeństwa. Strzał z działka przeciwpancernego był jednak trochę skuteczny — pocisk utkwiał w lewym hamulcu. Załaczono tylny bieg i tak wydostał się czołg z lasu. Na tym skończyła się potyczka. Czołgi zerwały kontakt z polskim oddziałem i wróciły do swej grupy w Sławatyczach.

Potyczka ta rozegrała się między grupą „Brześć”, t. j. załogą

cytadeli Brzeskiej przebijającą się na południe, a właściwie jej strażą tylną, złożoną z bataljonu marszowego 35 p. p. i plutonu działek przeciwpancernych 79 p. p., a oddziałem pościgowym ciężkich czołgów niemieckich.

Opis potyczki jest wierny i świadczy chlubnie o oddziałach polskich, które, nie mając skutecznych środków obrony przeciwpancernej i widząc, że strzały z działek nie szkodzą ciężkim czołgom, trwały mimo to na stanowiskach.

OSTATNI BÓJ ARMJI KRAKOWSKIEJ DNIA 18 DO 20 WRZEŚNIA

„Kampferlebnisse aus dem Feldzuge in Polen 1939”. — Str. 39.

„Wir zogen gegen Polen” — Str. 45—49.

Poszczerbiona w bojach armja Krakowska, ścieląc drogi odwrotu gęstym trupem swoim i napastnika, przedostała się przed 18 września przez lasy ordynacji Zamoyskich do szosy Zamość—Lwów w okolicy na północ od Tomaszowa Lubel. Wzdłuż szosy tej ustawił się już nieprzyjaciół, lekka dywizja austriacka, zamykając drogę odwrotu na wschód. Posuwający się równolegle z armją krakowską, niemiecki korpus śląski zamknął drogi odwrotu na południe przez Tomaszów Lubelski i Narol. VII korpus bawarski przeskrzydlił armję od północy, odcinając ją od Zamościa i nawiązując łączność z dywizją austriacką.

18 września armja krakowska odgryzająca się nieustannie nieprzyjacielowi, stanęła do ostaniej bitwy. Oddziały jej szturmowały zacięcie z olbrzymich lasów w kierunku wschodnim. Dywizja austriacka z największym wysiłkiem powstrzymywała natarcie. Trzeba się było liczyć z tym, że zdecydowane uderzenie polskie, które mogło nastąpić każdej chwili, mogło rozbić pierścień okrażający.

Tak przedstawiała się sytuacja pod miejscowością Tarnawatka dnia 19 września w chwili, gdy czołowe oddziały dywizji bawarskiej, a przede wszystkim jej artylerja i artylerja korpusowa wzmocniły zapórę.

Oto obrazek z tej bitwy:

Piechota austriacka jest już prawie bez amunicji i brak jej sił do powstrzymywania przebijania się polskiego. Artylerja bawarska zajeżdża na pozycję tuż na południe od Tarnawatki. Zdaleka już wita ją pociski polskiej artylerji. Załedwo zajęła na stanowiska, wała tuż przed nią polskie granaty i dołącza się ogień karabinów maszynowych z bliskiej odległości. Żebyśmy tylko tych chłopów mogli zobaczyć. Ten karabin maszynowy musi leżeć bardzo blisko nas, jest jednak znakomicie zamaskowany. Polska baterja strzela dalej. Jej uderzenia zbliżają się coraz bardziej. Ostatnie polskie pociski wybu-

chają o 4 m. od baterji. Niemiecka artylerja zaczyna odpowiadać. Dwie baterje w ciągu jednej tylko godziny wysyłają 700 granatów. Ogień niemiecki równa się pierścieniowi śmierci, który zaznacza się w terenie pierścieniem ognia zapalonych wsi. Tak wygląda wieczorem 19 września. Niemcy są jednak pewni, że Polacy spóbuja przerwać się przez żelazny pierścień. Ten wróg walczy z męstwem rozpacz. Okopują się więc, rozmieszczają ciężkie bronie...

W nocy z 19 na 20 września podjęła armja Krakowska z Warszawską brygadą pancerną na czele nowy wysiłek przebicia się ku południowi przez Tomaszów Lubelski na Lwów. Tyły swe ostoniła częścią sił na północ od Tomaszowa, by powstrzymać nieprzyjaciela napierającego od północy.

Już o 2-giej w nocy ruszyli Niemcy spod Tarnawatki ku południowi. Wkrótce dostali się pod ciężki ogień karabinów maszynowych i karabinów. W dalszym posuwaniu ogień stał się coraz groźniejszy szczególnie, gdy zagwizdały kule z prawego skrzydła. Niemcy szukają odciążenia uderzeniem w kierunku swej prawej flanki. Nie odnosi to jednak skutku, prawe skrzydło niemieckie znów dostaje się pod ogień nieprzyjacielski. Niemcy przypuszczają, że Polacy kryją się za 3 wielkimi stogami słomy, z za których zasypują nacierających gradem pocisków. Amunicja świetlna do karabinów maszynowych! Już stogi stoją w pełnym ogniu. Ale nieprzyjaciel trzyma się dalej. Dopiero użycie wszystkich ciężkich broni, granatników i działek przeciwpancernych oraz posuwającej się krok w krok za natarciem artylerji zwalczają opór polski.

Ledwo zdołano się trochę posunąć, natarcie znowu utyka. Polska artylerja, miotacze min i karabiny maszynowe zieją śmiercią. Bez bezpośredniego wsparcia artylerji nie da się nic zrobić. Artylerja podejżda od tyłów, ostrzeliwana w lesie przez odciętych polskich strzelców.

Dopiero około godziny 11 ogień ustaje i Niemcy zajmują polską pozycję. W kilka godzin później przychodzi wiadomość, że większości sił polskich nie powiodło się przebicie przez Tomaszów Lubelski i że oddziały polskie dostały się do niewoli, po zawziętym oporze. Oto świadectwo w urzędowym wydawnictwie niemieckim. Przebijanie się Polaków przez Tomaszów osłaniał od północy na szosie Zamość — Tomaszów Lubelski, polski bataljon z 20 działami, które czekały w terenie, by powitać Niemców kartaczami. Oficerowie tego bataljonu byli zdecydowani na opór do ostatniego. Jeden z oficerów według zeznań szeregowców, zapowiedział, że zastrzeli każdego, ktoby się nie bronił do ostatka. Do niewoli wzięto tylko 7 oficerów z bataljonu. Robili oni wrazenie fanatyków. Wielu polskich oficerów zginęło w walce od kul niemieckich żołnierzy. Jeden z oficerów, którego zapytywałem, dlaczego prowadzili tą beznadziejną walkę odpowiedział — „walczyliśmy dla honoru”. Na wiadomość, że dywizja, stojąca na południu, poddała się i że polski generał zaproponował kapitulację, był

on jaknajgłębiej wstrząśnięty. Według zgodnych meldunków wszystkich kompanij polscy oficerowie, kapitanowie i porucznicy walczyli jaknajbardziej zacięcie.

Mężnie aż do ostatka bronił się tu przeciwnik. Jego straty wynosiły 70 proc. stanów liczbowych.



Biblioteka Gł. UPH Siedlce
nr inw.: BR - 33756



br.33756